

Stanisław Janczewski, Halina Piekarska


Rok 1959 (nr 6)

Palestra 43/11(503), 51-66

1999

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



„Palestra” przed laty

Rok 1959 (nr 6)

Stanisław Janczewski
advokat

Godność zawodu

I

Godność zawodu a etyka

Godność zawodu adwokackiego jest w równej mierze zagadnieniem etyki zawodowej, jak i form postępowania zewnętrznego, obowiązujących każdego członka palestry. Jednocześnie zagadnienie to łączy się najściślej z kwestią osobistej godności i honoru adwokata. Członek zawodu, który popełnia czyn naruszający godność tego zawodu, obniża tym samym własną powagę i odwrotnie: adwokat, który postępowaniem swoim wykracza przeciwko regułom etyki i przyzwoitości, choćby czyn jego nie miał żadnego związku z wykonywanym zawodem, obraża godność zawodu adwokackiego.

Źródła tego ścisłego związku, jaki zachodzi pomiędzy godnością zawodu adwokackiego a osobistą godnością i honorowością jego członków, należy doszukiwać się w tym, co stanowi istotę zawodu adwokackiego. Myliłby się bowiem, kto sądziłby, że obowiązki zawodowe adwokata sprowadzają się wyłącznie do mniej lub więcej starannego wykonania zadań, których adwokat się podejmuje, a więc np. udzielenia porady, opracowania umowy lub innego aktu prawnego albo obrony sprawy. Gdyby tak było, zawód adwokata nie różniłby się od innych wolnych zawodów, w szczególności od zawodów technicznych, w których zadanie wykonawcy sprowadza się do mniej lub więcej sumiennego przygotowania zamówionego „dzieła” lub wykonania zlecenia.

Obowiązki adwokata są o wiele rozleglejsze i dalej idące od tego zadania natury czysto technicznej, jakiego podejmuje się adwokat, przyjmując np. do obrony sprawę karną lub do prowadzenia sprawę cywilną. Tłumaczy się to tym, że zawód adwokacki nie jest zawodem ograniczonym wyłącznie do czysto technicznego wykonania określonych zadań. Odrębność adwokatury jako zawodu, złożony charakter ciążyących na niej obowiązków pochodzi stąd, że jest ona najściślej związana z jedną z najważniejszych funkcji państwa, jaką jest wymiar sprawiedliwości.

Jak niepodobieństwem jest wyobrazić sobie istnienia adwokatury bez istnienia sądów, tak samo niepodobna wyobrazić sobie istnienia sądów bez istnienia adwokatury.

Moment, w którym ludzkość doszła do uświadomienia sobie tego, że nie może być mowy o prawidłowym wymiarze sprawiedliwości, jeśli tym, którzy mają stanąć przed sądem, nie zapewni się należytej obrony, był momentem narodzin sztuki obrończej, której stopniowy rozwój doprowadził z kolei do wytworzenia się zawodu ustawowo powołanego do wnoszenia obron przed sądami, a następnie do zastępowania stron w sporach cywilnych.

Ten szaczątny skądinąd związek adwokatury z wymiarem sprawiedliwości, wkłada na członków zawodu adwokackiego obowiązki znacznie wykraczające poza techniczne zagadnienia obrony lub prowadzenia sprawy.

Przed wszystkim więc adwokat, należąc do zawodu będącego współczynnikiem wymiaru sprawiedliwości, musi pamiętać o tym, że zadanie jego nie tylko polega na możliwie najlepszym wykonaniu czynności związanych ze sprawą, której się podjął, ale że pełni on jednocześnie funkcję publiczną, mającą na celu zapewnienie prawidłowego wymiaru sprawiedliwości.

Rozumiana w ten sposób adwokatura staje się jednym z tych niezliczonych trybów, które składają się na wielką maszynę życia państwowego. Od właściwego działania tego trybu zależne jest prawidłowe działanie wymiaru sprawiedliwości, będącego czynnikiem tak niezmiernie ważnym i gwarantującym zdrowy ład społeczny i porządek we wszystkich dziedzinach życia państwowego, społecznego i gospodarczego.

Uwzględnienie wyżej przytoczonych przesłanek jest niezbędne dla należytego zrozumienia skomplikowanego skądinąd zagadnienia etyki adwokackiej. U podstawy jej leżą niewątpliwie normy etyki ogólnej. To, co z punktu widzenia etyki ogólnej jest uznawane za nieetyczne, niemoralne, zakazane lub choćby tylko niewłaściwe, jest tak samo nieetyczne, niemoralne, zakazane lub niewłaściwe z punktu widzenia etyki adwokackiej.

W związku z tym można by zadać sobie pytanie, czym w takim razie różnią się normy etyki adwokackiej od norm etyki ogólnej i czy warto mówić o etyce adwokackiej, jeśli w ogólnych normach etycznych, ewentualnie we własnym sumieniu można znaleźć dostateczne wskazówki dla swego postępowania i dla oceny danego czynu pod względem etycznym.

Odpowiedź na to jest bardzo prosta. Etyka adwokacka, biorąc za podstawę normy etyki ogólnej, tym się różni od tej ostatniej, że musi się liczyć ze specjalnymi zadaniami i właściwościami adwokatury, w tym również z funkcją publiczną adwokatury jako współczynnika wymiaru sprawiedliwości, z jej rolą z tego tytułu w ustroju państwowym i życiu społecznym, z płynącą z tego źródła godnością zawodu adwokackiego. Na etykę adwokacką wpływa również szereg innych czynników, wśród których wymienić należy nacechowany specjalnym zabarwieniem – ze względu na rolę państwową i społeczną adwokatury – stosunek do sądu, do klienta i do kolegów adwokatów.

W związku z tym normy etyki adwokackiej, które z natury rzeczy są i muszą być szersze od norm etyki ogólnej, podlegają nadto uzupełnieniu przez określone reguły postępowania. Przestrzeganie jednych i drugich jest dla adwokata obowiązkiem. Postępowanie sprzeczne z normami etyki i regułami obowiązującymi w adwokaturze stanowi naruszenie godności zawodu. (...)



OD REDAKCJI

Przy poszukiwaniu źródeł do historii adwokatury w Polsce Redakcji „Palestry” udało się natrafić na bardzo rzadki egzemplarz broszury wydanej w Warszawie w roku 1882 zawierającej odczyt „O Palestrze staropolskiej”, wygłoszony przez Aleksandra Kraushara, ostatniego „mecenasa” przy IX Departamencie Senatu – najwyższej wówczas w Polsce kongresowej instancji sądowej. Niezmiernie interesująca treść odczytu skłoniła Redakcję do zamieszczenia obszernych fragmentów zapomnianej już dziś broszury znakomitego przedstawiciela adwokatury polskiej i nie mniej znakomitego historyka.

W przedruku zostały pominięte jedynie obszerne cytaty, zamieszczone więc niżej fragmenty dają obraz całości odczytu, będącego cennym przyczynkiem do dziejów adwokatury w Polsce w ciągu wieków.

O Aleksandrze Krausharze „Palestra” zamieściła w swoim czasie obszerne wspomnienie pióra nieodżałowanej pamięci kolegi Janusza Olchowicza, wicedziekana Rady Adwokackiej w Warszawie¹.

O Palestrze Staropolskiej

Odczyt Aleksandra Kraushara

**Warszawa. W drukarni Noskowskiego, Ulica Mazowiecka, Nr 11.
1882.**

(...) Palestra polska, jakkolwiek wykwitła na czysto rodzimym gruncie i w dziejowym swoim rozwoju wyrobiła się samodzielnie, oparta na tradycji przeszłości, nazwę swą i nazwę piastowanych w niej urzędów zapożyczyła ze starożytnego Rzymu.

Wyczerpującego obrazu dziejów palestry polskiej literatura nasza dotąd nie posiada. Chcąc zbadać przeszłość tej instytucji, kolejne zmiany, jakie przechodziła, słowem, chcąc odtworzyć ów barwny i zgiełkliwy obraz korporacji palestranckiej, która w domowym życiu dawnej Polski takiego używała znaczenia i wpływu, jak np. obrady publiczne w politycznym życiu narodu, należałoby

¹ „Palestra” nr 3–4 z r. 1958 str. 94 i nast.

sięgnąć do źródeł praw i na takiej faktycznej kanwie osnuć wątek losów dziejowych tej niezmiernie ciekawej instytucji.

Obyczajowe rysy palestry polskiej odtwarzają nam satyry i pamiętniki z dawnych i bliższych pozostałe epok, z tych ostatnich szczególnie pamiętniki Kitowicza, Rulikowskiego, Matuszewicza, Ochockiego, Wybickiego i Koźmiana.

Zewnętrzny ustrój stanu obrończego, jego prawa, przywileje i obowiązki, związane są ściśle z historią sądownictwa polskiego w ogóle, Trybunałów zaś w szczególności. Szczegóły przedmiotu tego dotyczące mieszczą się w badaniach historycznych nad dawnym prawem polskim i litewskim oraz nad historią wymowy sądowej, jak np. w badaniach Czaskiego, W. A. Maciejowskiego, Hubego, Dutkiewicza, Helcla, Mecherzyńskiego, Bobrzyńskiego i w zarysie dziejów adwokatury Niemirowskiego.

Wszystkie te dane, rozpatrzone badawczo a bezstronnie, prowadzą do stanowczego wniosku, że jeśli w pewnych epokach dziejowych przewaga ujemnego wpływu palestry polskiej na obyczaje ludności była widoczna, to wina takiego stanu rzeczy nie leżała bynajmniej w wadliwości ustroju instytucji obrończej, lecz raczej szukać jej należy w objawach wyjątkowych, w posuniętej do ostatecznych granic możliwości swobodzie słowa i w zbytym uwzględnianiu woli i samowoli jednostek, które stawiały częstokroć interes osobisty ponad interes ogółu i wymagania prawa.

Już w najdawniejszych czasach pod ogólnym mianem *rzeczników*, czyli *przy-mówców*, albo też *pełnomocników*, *prokuratorów* rozumiano ludzi, których powołaniem było pilnowanie interesów stron prywatnych.

Statut Wiślicki obejmuje przepis, że każdy, bez względu na stan i powołanie, może się przed sądem bronić przez prokuratora.

Statu Nieszawski z r. 1454 r mianuje prokuratorów opiekunami wdów, nieletnich i ubogich.

Toż samo Statut litewski w Rozdziale IV stanowi, aby prokuratorowie przydani byli za opiekunów wdowom, ubogim i nieletnim i iżby w sprawach o zbrodnie stanu dodawano obwinionym prokuratora do obrony z urzędu.

W r. 1505 król Aleksander w Krakowie poddał prokuratorów karze pieniężnej, gdyby niedokładnie instrumentowani stawali w sądzie imieniem pryncypałów.

W r. 1543 król Zygmunt Stary Statutem swoim, w Krakowie wydanym, przepisał dla prokuratorów w sądzie stawających przysięgę, zabroniłszy nieprzysięgłym spraw popierać i w sprawach radzić. Od tego obowiązku nie byli zwolnieni ci nawet prokuratorowie, którzy ze szczególnym instrumentem, tj. pełnomocnictwem, spraw pryncypałów swoich pilnowali. Wszyscy stawający w obronach pełnomocnicy obowiązani byli dowieść świadectwem sądów ziemskich, że są przysięgłymi.

Pierwszy raz mowa tu jest o prokuratorach *mercenariós*, tj. płatnych przez swoich pryncypałów.

Tenże król prawem z r. 1548 przepisał, aby prokurator zawsze był w sądzie gotów, gdyby zaś strona skutkiem niedbalstwa jego *wzdana*, czyli skazana została zaocznie, to obowiązek wynagrodzenia szkody stronie skazanej leżał na pełnomocniku.

Król Zygmunt August w r. 1550, mówiąc o pozwach potwarczych, karę więzy przepisał na tych prokuratorów, którzy by bezzasadnie pozywali do sądu i rzetelnie spraw nie przedstawiali.

Oprócz przepisów, warunkujących formy postępowania przy wnoszeniu obron w sądach, istniały i przepisy stanowione gwoli zabezpieczenia godności stanu obrończego.

W uchwale Bolesława, księcia mazowieckiego, z r. 1453 zastrzeżono, aby mówiącemu w sądzie nie przerywano głosu, tak aby powołujący, jako i powołany mogli się dostatecznie wysławić, zarzutów dowodzić i obrony wypowiadać gruntownie.

Wszystko to jednak nie miało na celu opiekowania się gadatliwością.

Owszem, w Statucie Nieszawskim wyraźnie postanowiono: aby zbytne oratorye ustały i one zaloty niepotrzebne odcięte były i iżby w zwyczaj weszło, tego, który by takimi mowami nadrabiał, naprowadzać na ścieżkę i methodum, aby do rzeczy mówił.

(...) Podczas gdy Grzegorz z Sanoka rzeczników za najszkodliwszy rodzaj ludzi poczytywał i godnym wygnania w najodleglejsze świata strony mienił – w niezbyt odległej od tego wyrzeczenia epoce, bo w r. 1520, na sejmie w Bydgoszczy przyzwano adwokatów do poprawy ustawodawstwa krajowego; w sprawie zaś o porwanie księżniczki Halszki z Ostroga stawali ze strony pokrzywdzonej matki, księżnej Beaty, mówcy, których sława do dziś dnia w historii wymowy polskiej przetrwała.

Są poznaki, że pieniactwo w XVI już wieku bardzo było rozkrzewione, skoro odgłos żalu i skargi nad takim stanem rzeczy odbija się w pismach poetów i moralistów owoczesnych.

(...) Na drugą połowę XVI wieku przypada w Polsce ważna epoka w historii sądownictwa krajowego.

Jakkolwiek i do owego czasu zasada, że wymiar sprawiedliwości wyłącznie w ręku panujących spoczywać był winien, znajdowała wyjątek w wiecach sądowych, przez wojewodów, kasztelanów, i innych dostojników z ramienia królów odbywanych, i jakkolwiek od najdawniejszych epok funkcjonowały w Polsce rozliczne sądy: ziemskie, grodzkie, zadworne, sejmowe, relacyjne, potoczne itd., z których każdy, mając właściwy rodzaj spraw władzy swej przekazanych, działał w imieniu panujących – jednakże mnogość tych spraw, ciągnących się przez długie lata z krzywdą dla stron, tendencja wreszcie ograniczenia władzy królewskiej sprawiły, że coraz naglej zaczęto się domagać ustanowienia obok powyższych sądów i Sądu najwyższego, obywatelskiego, złożonego z wybranych obywateli świeckich i duchownych, którzy by imieniem panującego sprawy procesowe załatwiali.

Życzenie to, po długim ze strony panujących oporze, urzeczywistnione zostało za radą wielkiego kanclerza Zamoyskiego dopiero za Stefana Batorego w r. 1578 przez ustanowienie Trybunału (*Judicia generalia ordinaria, Tribunalis Regni*), na którym odtąd zasiadać mieli deputaci ze stanu świeckiego pod przewodnictwem marszałka, obierani przez województwa na deputackich sejmikach, jako też i duchowni, delegowani przez kapituły pod przewodnictwem prezydenta. W takim komplecie sądowym rozstrzygane miały być ostatecznie wszelkie apelacje² od sądów ziemskich, grodzkich, podkomorskich, komisarskich i wszystkie inne, które przedtem przychodziły na sejm albo na dwór królewski.

² W oryg. „appellacye” (przyp. Red.)

W Koronie Trybunał był jeden, lecz odbywał się kadencjami w Piotrkowie i w Lublinie; w Piotrkowie dla 9 województw i 2 ziem wielkopolskich, w Lublinie dla 7 województw małopolskich.

Litwa przystąpiła do Ustawy trybunału w r. 1581. Województwa kijowskie, wołyńskie, braclawskie sądziły się w Łucku, lecz w r. 1589 poddały się władzy Trybunału koronnego; województwo czernihowskie dopiero w roku 1635. Pruskie województwa trzymały się swoich sądów z wolną apelacją² do króla, choć w r. 1585 stanęło, aby poszły pod Trybunał koronny.

Ważna ta instytucja, chociaż sądowa, jednakże wysoce politycznego znaczenia, której doniosłość z biegiem czasu rosła i wzmagala się do tego stopnia, że Trybunałom tytuł „Najjaśniejszych” przysługiwał, przetrwała aż do ostatnich dni politycznego bytu Rzeczypospolitej. (Litewski Tryb. sądził dłużej, bo do r. 1797).

Obyczajowej strony Trybunałów dotąd wyczerpująco nie scharakteryzowano, choć przedmiot to wielce ciekawy i ważny, choć tu i owdzie znajdują się barwne i malownicze szczegóły, które do odtworzenia splendoru i majestatu tej magistratury dostateczny przedstawiają materiał.

Większość opisów Trybunałów odnosi się przeważnie do XVIII wieku, i to do tych Trybunałów, które zasiadały w Piotrkowie i w Lublinie.

Ze względu jednak, że Trybunały te były największe i co do zakresu swego działania, i obszaru jurysdykcji sądowej w dawnej Polsce, ze względu nadto, że forma sądenia we wszystkich Trybunałach była jednaka, może nie będzie bez interesu dla współczesnych odtworzyć na podstawie wiarygodnych wzmianek historycznych ową ciekawą arenę, na której ścierały się namiętności rozmiłowanych w kratkowych sporach ubiegłych pokoleń, arenę, na której sprawiedliwość ludzka ferowała w najważniejszych cywilnych i gardłowych sprawach wyroki, gdzie talent mówców i zręczność palestrantów walczyły o lepsze, znajdujące dla siebie podatne i rozległe do opisu pole.

Do dziś dnia jeszcze, na rynku lubelskim, nie zmieniwszy przeznaczenia, istnieje gmach, w którym dawny Trybunał Koronny miał swe siedlisko.

Za Stanisława Augusta architekt Merlini zmienił nieco formę tego budynku na okazalszą, jednakże w główniejszych liniach pierwotna architektura trybunałskiego gmachu utrzymana została.

Co do Trybunału, czyli ratusza Piotrkowskiego, ten niedawno dopiero usunięty został z rynku miejskiego. Wierne odtworzenie tego zabytku zachował nam „Tygodnik Ilustrowany” z r. 1869.

Otwarcie, czyli tak zwana reasumpcja Trybunału, i wjazd jego do miasta odbywały się z wielką ostentacją. Deputaci, czyli sędziowie świeccy, w barwy właściwych województw odświętnie przyodziani, duchowni zaś w rokitach koronkowych udawali się przede wszystkim, w gronie palestry i oficjalistów miejskich, do kolegiaty i podczas tego pochodu garnizon prezentował broń i bił w bębny; huczały dzwony z wieżyc wszystkich kościołów i klasztorów.

Po wysłuchaniu nabożeństwa deputaci w porządku, wśród tłumów ludności, udawali się na ratusz.

Sędzia ziemski wręczał wówczas laskę – godło władzy sądowej – marszałkowi przy stosownej oracji; prezydent zaś, imieniem deputatów duchownych, z krzy-

żem w ręku zwracał się do obecnych z przemową, na którą odpowiadał jeden z wybranych, poważnych mecenasów imieniem całej palestry, witając Trybunał.

Gdy marszałek z otwarciem sądów laską o stół uderzał, woźny kontuszowy tubalny głosem i stereotypowym okrzykiem: „Mości Panowie, uciszcie się!” przywoływał z wokandy sprawy.

Kadencje trybunalskie ożywiały miasto, zapelniając je tłumami podróżnych.

Roili się wówczas po ulicach Ormianie, Szkoci, Włosi z towarami, sługi, hajduki, pajuki i strzelce. Uwijały się wszędy karoce, kolasy, taradajki, konni i piesi. Wśród różnobarwnego tłumu deputatów, mecenasów, klientów i ciekawych spieszących na uroczyste roki sądowe, plac ratuszowy, zazwyczaj poważny i cichy, zmieniał swoją fizjonomię, tworząc i grupując się w malowniczy i ruchliwy obraz, tak intuicyjnie odtworzony w powieści Kraszewskiego „Ma-leparta”.

Podczas kadencji trybunalskich odbywały się czasami przedstawienia teatralne żaków szkolnych. Treścią ich były misteria, alegorie cnót i występków. Nakład na takie reprezentacje pokrywał się z kieszeni możniejszych mecenasów.

Zewnętrzny wygląd sali Trybunału podczas zwykłych dni sądów powagą przyborów odpowiadał jej przeznaczeniu.

Od wielkich drzwi wejściowych, na nieznacznym wzniesieniu, mieściła się tak zwana kratka z pulpitemi dla obrońców. Przed nią, również na wzniesieniu, przez całą długość sali ciągnął się stół zielonym pokryty suknem, zawalony fascykulami papierów. Na środku stała misternie wyrobiona skrzynka srebrna, przeznaczona na grzywny, które skazani opłacali.

W koło stołu stały krzesła czerwono obite dla deputatów, na skraju zaś dwa krzesła większe – dla marszałka i prezydenta. Wprost nich wznosił się krzyż wielki, czarno lakierowany, z napisem u spodu: *Juste judicate, nam ego justitias vestras judicabo!*

Z prawej strony krzesła marszałka, za kratą żelazną, było miejsce dla sędziego i pisarza ziemskiego. W przeciwległym kącie trybuna dla możnych.

Wprowadzanie spraw odbywało się następującym porządkiem. Najprzód strona powodowa przez obrońcę przedstawiała stan sprawy, przy czym pomocnik obrońcy podawał sędziom na piśmie skrócony odpis dokumentów. Tą samą kolejną odbywała się i obrona przeciwnika, zwana repliką, po której następowała wymiana odpowiedzi i czytanie żądań zwanych konkluzjami.

Po wprowadzeniu i wyjaśnieniu sprawy Trybunał wydalał się do izby narad, w trakcie czego obrońcy obowiązani byli oczekiwać wyroku, choćby narady przez całą noc trwać miały.

Wyrok odczytywano stojąco przez właściwego deputata, najprzód bez motywów, które następnie pisarz na zasadzie składanych przez mecenasów kontrowersji układał i pobierał za to od stron przy wydaniu wyciągu wyroku wynagrodzenie prawne.

Uroczystszym było postępowanie i obrządki przy sprawach gardłowych.

Po oskarżeniu i obronie, gdy zapadł wyrok, wprowadzano więźnia pod strażą do sali sądowej. Gdy woźny wołał: „Mości panowie! Uciszcie się do słuchania wyroku!”, było to zapowiedzią łagodniejszej kary. Lecz gdy Instygator, czyli oskarżyciel, odzywał się: „Woźny, otwórz i zamknij drzwi!”, śmiertelna obawa przeje-

mowała więźnia i wszystkich obecnych, bo już widzieli przed sobą wznoszący się miecz katowski i rusztowanie.

Wówczas z łoskotem otwierano i zatrzaskiwano trzy razy żelazne drzwi od sali. Sędziowie świeccy nakrywali głowy, duchowni zaś przysyłali rękoma twarze, a pisarz ziemski wśród grobowego milczenia odczytywał wyrok śmierci, od którego już odwołania nie było.

W ciągu dni trzech egzekucja dekretu odbywała się na rynku przez ścięcie lub też za miastem, gdy skazanego za hańbiące występki wieszano.

Celem utrzymania karności tak w kancelarii, jako i między należącymi do niej palestrantami i stronami Trybunały stanowiły dla siebie wewnętrzne porządki. Mimo to podczas kadencji trybunalskich dość często zachodziły zatargi palestrantów z deputatami i mieszczanami. Bójki, pojedynki, pałaszowania, duch junkierii i niesforności ściągał na siebie surowe represalia ze strony marszałkowskiej władzy.

Za naruszenie porządku przez dobyte szabli na Trybunale i burdy rozstrzelano Wołodkowiecza, głośnego w XVIII wieku paliwodę i awanturnika. Znany jest również fakt, że gdy szlachcic Sulerzycki deputata Młodzianowskiego czynnie był znieważył, marszałek Karwicki, nie schodząc z ratusza, stante pede gwałtownikowi głowę uciąć rozkazał.

Stanowiły owe porządki trybunalskie o przepisach dotyczących godności i powagi stanu obrończego i sędziowskiego, obowiązujące nie tylko skład sądu, ale i wszystkich mieszkańców trybunalskich grodów.

Między wieloma charakterystycznymi przepisami zabraniały one, idąc w ślad Kazimierzowskiego Statutu z r. 1368, niewiastom, tak zwanym *wersatkom*, czyli pieniactkom zawołanym, kręcić się po sądach i czynić między deputatami „praktyki”. Nie przeszkadzało to jednak niewiastom bronić się osobiście przed Trybunałami w sprawach własnych.

Zbiór Fryderyka Sapiehy, znany pod nazwą „Swada polska” Jana Ostrowskiego-Daneykowicza, wydany w Lublinie w r. 1745 w dwu wielkich tomach, między oracjami przygodnymi i miscellaneami przechował nam świetną mowę Starościny Rawskiej 1-go ślubu Roztworowskiej, 2-go Załuskiej w sprawie z Wodzińskim, którą w większej części przytoczył Mecherzyński w III tomie swej historii wymowy w Polsce, ostatnio zaś w całości, według rękopisu, p. Kantecki w jednym z pism ilustrowanych warszawskich.

Te to przybytki sprawiedliwości były najgłówniejszym polem publicznych występów palestry. Nazwa ta „palestra”, początkowo wyłącznie do stanu obrończego stosowana, przybrała w wiekach następnych, w XVIII zwłaszcza, znaczenie ogólniejsze. Mianem palestrantów oznaczano urzędników sądowych pracujących po kancelariach, a jednocześnie występujących się obrońcom celem nabrania praktycznej znajomości prawa. Takich palestrantów stosownie do rodzaju zajęć kancelaryjnych nazywano inducentami, extradentami, feryantami, klawierami itd.

I pod względem zakresu działalności członków palestry właściwej, tj. ciała obrończego, nastąpiły z biegiem czasu zmiany. Obok nazwy prokurator, agent występuje w XVII wieku nazwa patron, patronizant, mecenas. Jan Sobieski na Sejmie w Grodnie r. 1678 nazywa jeszcze obrońców prokuratorami.

W sądach kanclerskich, czyli asesorskich, gdzie rozstrzygano sprawy miejskie w ostatniej instancji, obrońcy, po większej części nie szlachta, dzielili się na patronów i agentów. Agent był to właściwie sekretarz patrona. Zostawszy patronem, otrzymywał patent królewski na sekretarza dworu i tym sposobem zyskiwał tytuł *generosus*.

Obrońca stawający przed Trybunałem musiał być koniecznym szlachcicem. W innych sądach, nie wyłączając sejmowego, mogli bronić ludzie prostej kondycji. Prawa litewskie stanowiły, że patron musi być koniecznym posesjonatem; koronne zaś zastrzegały, aby żołnierzem nie był. Obrońcy stawający przed Trybunałami, tj. w sądach, od których żadnej apelacji³ nie było, nazywali się *mecenasami*.

O ile w zaczątkach istnienia Trybunałów stan obrończy zasilał się przeważnie prawnikami, którzy wyższe, uniwersyteckie pokończyli kursy, o tyle w XVII i XVIII w., wraz z upadkiem skali naukowej oświaty w kraju, palestra utraciła na powadze, stawszy się szkołą praktykantów, zaprawianych do zawodu obrończego przysłuchiwaniami się obronom w sądach i spełnianiem posług u głośniejszych mecenasów.

Wiadomo, że w wiekach XV i XVI głównym przybytkiem nauk w kraju był założony przez Kazimierza W. w XIV wieku Uniwersytet Krakowski, w prawnym wydziale którego miało się, według słów przywileju nadawczego, znajdować osiem katedr do wykładu nauki prawa.

Zamiar ten, urzeczywistniony w szczupłym jedynie zakresie, po śmierci wielkiego króla uległ zupełnemu skarłowaceniu, tak że dopiero za Władysława Jagiełły Akademia Krakowska na nowo do życia przywrócona została i według słów przywileju z r. 1400 miała się stać „umiejętności poważnych perłą, wydawać mającą męże dojrzałością rady znakomite ozdobą cnót uwieńczone, i w różnych naukach biegle”, że będzie źródłem wylewnym umiejętności, z którego mogliby czerpać wszyscy chcący się wyzwolonymi napoić naukami.

Z biegiem stuleci jednakże Uniwersytet ten zmienił kierunek nauk świeckich na korzyść scholastyki. Wywołano zeń naukę prawa rzymskiego, zaprowadzono wykład dialektyki dla przyuczenia młodzieży do myślenia, a liczbę katedr prawnych ograniczono do czterech.

Stan taki spowodował tłumne wędrówki młodzieży polskiej do Włoch i Francji celem doskonalenia się na tamecznych akademiach w nauce prawa rzymskiego.

Co do nauki prawa krajowego, dopiero w początkach XVIII wieku zaprowadzono katedry tego przedmiotu w niektórych szkołach wyższych.

Korzystniej oddziaływała na młodzież prawniczą Akademia Zamoyska, gdzie istniały wykłady *ortelów*, czyli prawa miejskiego, początkowo pod kierunkiem wychowawca akademii francuskich i włoskich – Dreznera.

Te to ogniska oświaty były najgłośniejszymi, skąd młodzież wynosiła zasoby do późniejszej swej działalności publicznej i obrończej, i istotnie wiek XVI, jak świadczą historycy, i dla palestry był wiekiem złotym.

Stan ten w następnych stuleciach zmienił się niekorzystnie. Uczni doktorowie prawa zaczęli gardzić zawodem obrończym. Coraz częściej dawały się słyszeć skargi i utyskiwania na nadużycia wymowy sądowej, na wybiegi krętaczy, co to niepomni swego powołania raczej przeciw prawu i sprawiedliwości, aniże-

³ Patrz przyp. 2 (Red.)

li w ich obronie występowali. Nazywano ich wzgardliwie *lewitami*, zdolnymi tylko do przewracania lewą ręką układu abecadłowego prawa, a nie do stosowania jego przepisów do potrzeb sprawiedliwości.

Gwałtowniej od poprzedników występują przeciw obrońcom satyrycy XVII wieku Rysiński i Opaliński. Pierwszy narzeka na zajądlność pieniaczy, drugi ostre swe strzały miota przeciw opuszczonym w powadze i dostojności Trybunałom.

(...) Najsmutniejszą w dziejach palestry i sądownictwa krajowego była epoka Sasów.

Trybunały przeobraziły się w polityczne partie, kierowane przez tych możnowładców, którzy przy wyborach zwycięstwo odnieśli. Wybory deputatów sędziowskich przeprowadzano siłą i takimi środkami, jak posłów na sejm.

Wymiar sprawiedliwości budził powszechne w narodzie szemranie, tak że znana legenda o skrzywdzonej przez Trybunał wdowie, interwencją szatanów dopiero do praw zagrożonych przywróconej, z owych datuje się czasów.

Bogactwo wymowy XVI wieku zastąpiła podjazdowa szermierka jurystów, dla których – jak pisze Rzewuski – za ciasne zdawały się izby sądowe, ale za to na polu otwartym, z dokumentami juris i membranami w rękę ożywiali w sobie geniusz, który im usta rozwiązywał.

Zepsucie ogarnęło cały prawie sądowniczy zawód. Sztuczki i wybiegi stanowiły cel główny członków palestry. Tamowano bieg sprawiedliwości najrozmaitszymi środkami zwłoki. Panowie możni, chcąc udaremnić przeciwnikom możliwość obrony, zjednywali dla siebie wszystkich mecenasów urzędujących przy Trybunale, aby odjąć przeciwnikowi nawet prawo wyboru obrońcy. Tym sposobem zdarzało się, że biedniejsi przeciwnicy, nie mogąc sobie radzić, przegrywali najsluszniejsze sprawy (...).

Do moralnego upadku palestry najglówniej przyczyniła się ta okoliczność, że naukową kwalifikację jej członków zastąpiła wyłącznie praktyka u głośniejszych jurystów i wybór patronów z grona tak zwanych dependentów. Instytucja ta, niezmiernie ciekawa i oryginalna, wyrobiła się w Polsce i nabrała właściwego charakteru, rozwinąwszy się w sposób w innych krajach nie praktykowany.

Niepodobna zrozumieć typowości dawnej palestry polskiej bez uwzględnienia tak ważnego czynnika w praktycznym życiu sądowym.

Stan dependentów tworzył się przeważnie z synów obywatelskich i mieszczan, którzy, na nauce u mecenasów pozostając, zaprawiali się zawczasu do posług publicznych i obznajmiali praktycznie z prawem, choćby nawet następnie nie mieli zamiaru zostać palestrantami.

Praktyka taka trwała przez lat dwa. Ci zaś, którzy mieli zamiar poświęcić się krótko, zostawali u mecenasów przez lat cztery.

Przez cały czas owej służby dependent pilnie bywał na Trybunale i przysłuchiwał się obronom mecenasów.

W pierwszym roku przepisywał sumariusze, przyozdabiał floresami piśmienne ilacje do sądu, porządkował dokumenty, za co otrzymywał od pryncypała strawę i przyodziewek.

Nazywano takich pomocników torbiferami dlatego, że dokumenty i księgi nosili za swymi pryncypałami a dobrodziejami w płóciennych torbach. Był jeszcze

i podgatunek takich famulusów, pośledniejszy nieco. Powinnością ich było przeglądać wokandy sądowe dla wiadomości, jak daleko są sprawy, w których ich pryncypałowicie stawali, a oprócz tego – jak figlarnie mówi Kitowicz – mieć nogi nieleniwe do wszelkich usług i poselstw IMci Pana Patrona i Jejmości Pani Patronowej. Czasem nawet po pietruszkę na rynek lub do szewca po trzewiki biegali (...).

Lata następne schodziły palestrantowi na robieniu kwerend po kancelariach grodzkich i ziemskich, na wypisywaniu dokumentów, redagowaniu pozwów i ilacyj, słowem, na obznajmianiu się z mechaniczną stroną zawodu. Dopuszczano go nawet do obron za biednymi więźniami, aż wreszcie po wielu kłopotach, z nadejściem chwili wyzwolin i złożenia przysięgi na jurystę, biedny palestrant stawał się niezależnym i mecenasem na własną rękę.

Taki był porządek normalny wychowania palestranta, ale łaska pańska częstokroć termin ów skracała i zdolny torbifer mógł być nawet już po roku stawać u kratki i bronić spraw przed Trybunałem.

Kiedy za Augusta II stany sejmowe w r. 1726 stanowiły o poprawie Trybunałów, zwrócono uwagę na palestrę, obwarowawszy ten zawód obostrzeniami, które by stronom procesującym się większą rękojmię przeciw nadużyciom dobrej ich wiary dawały.

Pomimo wszelkich narzekań i docinków domierzanych obrońcom stan palestrancki był wielce poszukiwany i ceniony w Polsce, gdyż wrodzone krewkiej naturze narodu zamiłowanie do publicznych obrad, częste nader sąsiedzkie i familijne certamenta to o granice, to o sukcesje nakazywały schlebiać potentatom, którzy żywot cały trawili na wertowaniu bibuły i wiedzieli zawsze, jakiego użyć fortelu dla obalenia lub przywrócenia zagrożonego prawa.

Nie było też żadnego publicznego zebrania, żadnej uroczystości czy to rodzinnej, czy obywatelskiej, na której by nie figurowali palestranci ze stosownymi oracyjkami i conceptami.

„Były czasy – pisze Kraszewski w *Typach i Charakterach* – w których palestra grała u nas niemal rolę, jaką dziś grają artyści. Wielcy panowie nawet ubiegali się o przyjaźń mecenasów, przyjmowali ich, poili, karmili, pochlebiali, a że to był chleb z głowy czerpany – kto należał do palestry liczył się za literata, za uczonego, za człeka pióra i conceptu”.

Palestranci trybunalscy nosili ubiór i kolory swych województw, niższej kondycji po ziemstwach i grodach ubierali się zwyczajnie, lecz charakterystycznie i zachowali swój strój nawet w czasach, gdy już działalność ich publiczna dawno się już była skończyła.

Nosili oni wysokie, sukienne czapki, podobne krojem do bernardyńskich, z wielkimi skórzanymi daszkami. Surdut szaraczkowy długi kamizelka po szyję zapięta na metalowe guzy, halsztuch atlasowy, z którego wyglądały rozłożyste, sztywne kołnierzyki. Reszta ubrania obcisła, ujęta w cholewy wysokie, zawsze starannie tłuszczem wysmarowane. Płaszczyk o krótkiej pelerynie z szerokim manszestrowym kołnierzem, chustka fularowa, tabakierka i laska sękata w rękę dopełniały całości owych zaściankowych panów Protazych, którzy szerokim wpływem między obywatelstwem i względnym ukształceniem umieli sobie wyrobić niepoślednie w domowych stosunkach narodu znaczenie.

Nadeszła jednak w drugiej połowie XVIII wieku chwila w dziejach palestry stanowcza.

Naglone coraz częściej podnoszonymi nawoływaniami, aby prawom o poprawie Trybunałów i reformie palestry przywrócić osłabłe z biegiem czasu znaczenie, aby nadto zbytnie pieniactwo ukrócić i wolność kratkowego słowa ująć w karby czysto przedmiotowego dowodzenia, prawodawstwo z jednej, broszury i pisma z drugiej strony, duchowieństwo wreszcie z trzeciej zaczęły nastawać na zaprowadzenie stanowczej reformy w stosunkach sędowniczych.

Kilkakrotnie w drugiej połowie XVIII wieku zapadłe konstytucje sejmowe uczyły zadość tej naglącej potrzebie.

Przepisano, aby palestry w Trybunale nie więcej było nad trzydziestu mecenasów, w asesorii dwunastu, w referendarii dwunastu, w komisji skarbowej piętnastu, w departamencie wojskowym szesnastu. Winni oni byli być szlacheckiego pochodzenia i przysięgli. Odpowiadali nie tylko za siebie, ale i za ich dependentów. Znajdujący się w palestrze mecenas nie mógł trzymać dóbr w sporze będących, nabywać praw spornych pod karą grzywien i więzy. Stron nie naciągać w wymaganiu honorariów pod karą odsądzenia od patronizacji. Do sprawy pomniejszej jeden tylko lub dwóch patronów, do największej nie więcej jak trzech przybierać dozwolono. W sprawach ludzi ubogich i więźniów Trybunał z urzędu przydawał patrona. Osnowy spraw z konkluzją i sumariuszem na piśmie składać nakazano. Przepisano nadto w stawaniu przed sądem skromność i uszanowanie pod rygiorem odsądzenia od patronizacji. Dependentom tylko po złożonej przysiędze obrony przynosić pozwolono. Po ziemstwach, grodach i sądach marszałkowskich zezwolenie sądu dla nieprzysięgłych jurystów było wystarczające.

Że jednak wszystkie zakazy i surowe prawa są niewystarczające tam, gdzie zło silnie jest zakorzenione, dowodem tego jest okoliczność, że do końca XVIII wieku powtarzają się ustawiczne skargi na nadużycia palestry i nawoływania do jej poprawy.

Pomimo środków zaradczych, pod koniec XVIII wieku tak dalece zagnieździło się pieniactwo w kraju, że w sądach grodzkich i ziemskich po kilkaset spraw zalegało nierozstrzygniętych z kadencji na kadencję.

Tania bardzo procedura i wielka liczba palestrantów narzucających się z usługami ludności niedoświadczonej, do sporów bardzo pochopnej, były przyczyną tej mnogości procesów. Widziano nieraz sprawy kilku złotych nie przenoszące, a zawzięcie przez lata całe promowane.

Cały kunszt palestrantów polegał na wyszukiwaniu tysięcy powodów zwłoki. Zdarzało się też nieraz, że woźnego, który wiózł pozew do sądu, spotykały nieprzyjemności tak malowniczo w „Panu Tadeuszu” opisane, bolesnymi biżunami na karkach owych posłów sprawiedliwości odbijane.

A rodzaj wymowy!

„Jedni – czytamy w Rzewuskim – posiadali języki sprawne do podjazdowych, akcesoryjnych utarczek. Takiego rzędu jurista dwadzieścia razy umiał zaatakować z różnych stron przeciwnika, odwiódł go od głównej rozprawy, zbił z tropu, zmęczył, zmitrężył, i tak zaplątał po ustronnych manowcach, że rad nie rad musiał cofnąć i odłożyć sprawę, unikając przegranej. Inny znowu, mniej zręczny w takich obrotach ex promptu, do stateczniejszej znowu procedury, do walnej rozpra-

wy umiał długie sposobić indukty i szeroko, a umiejętnie rozwiniętym szykiem uderzać na adwersarza”.

Utyskiwały strony na owe luity, kilkakrotnie kondemnaty, remissy, i dylacje, tak że bajeczka Krasickiego o panu Marku, który zwyciężywszy pana Piotra, „ostatnie trzysta złotych za dekret zapłacił”, bynajmniej przesadą nie trąci.

Szlachetniejsze osobistości z grona palestry, na których i w najgorszych czasach u nas nie zbywało, starały się w przekonywających, obywatelską myślą dyktowanych nawoływaniach zwrócić uwagę na konieczność poprawy tak smutnego stanu rzeczy.

Dwa zwłaszcza pisma pod tyt. „*Obywatel*” i „*Adwokat Polski za cnotą*”, oba w końcu zeszłego wieku wydane, autorowie których, do stanu palestranckiego należący, sami znać mogli najlepiej źródło złego i lekarstwo na jego zwalczenie, przyczyniły się niemało do skutecznej naprawy moralnego poziomu palestry.

Uznały one jednoznacznie, że przyczyna główna złego leżała w zbyt łatwym przystępie do palestry ludzi naukowo nie uzdolnionych do pełnienia tak ważnego powołania, w zbyt nim folgowaniu wolności słowa i w braku *Rady Obrończej* (*Collegium advocatorum*), która by pewną moralną kontrolę nad palestrą rozciągała.

Oburzenie przeciw fałszywym doradcom i pieniaczom z profesji, podniecającym ludność do bagatelnych sporów, znalazło wyraz w dosadnych nieco, ale sprawiedliwych narzekaniach.

„Trzeba zdjąć haracz – pisał *Obywatel* – który subtelni patronowie wybierają od obywatelów, a fassyi od swojej profesji nie płacą. Co za szczęśliwa profesja, na życie, na majątek, gębą nie rękami zarabiać? Gębą z gęby żywić, ludziom kłótnie, a sobie szczęśliwość wyrabiać! Ci, co głodni są i co łaciną sobie gębę wysmarowali, niedoskonałością publiczność gryzą. Majętniejsi i starsi wyjadacze pierwsi kłóćcą niewinnych i radzą, jak umieją, drudzy radzą, jak im potrzeba. Sprawa niewielka, niewiele papierów, główca do induktu nie potrzeba i sam pacjent sprawę opowie. Starsi swoje rzemiosło porzucili, a młodych się narobiło co niemiara. Kraj na tem zarabia, kiedy mniej kłótni i mniej próżnych wyjadaczy”.

Zastanawiając się nad powodem tak tłumnego gromadzenia się młodzieży w kancelarii, autor broszury dochodzi do wniosku, że winą tego są rodzice sami, bez wyboru i rozwagi oddający młodzież do palestry.

„Zdarzy się – pisze – szlachcicowi urodzić na wsi syna. Starał się dotąd umieścić go w palestrze, nie pytając, czy on tam potrzebny, czy niepotrzebny, aby się go z domu pozbył. Urodzi się w mieście lub miasteczku mieszczańinowi czyli rzemieślnikowi kilku synów – nie prowadzi go on do rzemiosła, do handlu, ale szuka go sposobić, aby z nich jeden był mnichem lub księdzem świeckim, a drugi, aby włączył się po kancelaryi. Stąd pomnożyła się nieograniczona liczba asystujących sądowym jurysdykcjom, względem podejmowania się spraw i interesów, słowem, kto tylko ociera się o ściany sądowe, chce uchodzić za jurydika, albo raczej za patrona”.

Zwracając się do potrzeby poprawy wewnętrznej, zauważyli autorowie owych pism, jak mało znajomości prawa posiadała ówczesna palestra. Nie szukała ona słów dla sprawiedliwego przedstawienia sprawy sądowi, ale goniła za sofizmami, za wyrazami „romansowemi”. Gadatliwy taki jurysta, wyuczywszy się

w mechaniczny sposób przysłowiów, adagiów, ucinków, komponował sentencje, cytował prawa, których albo sam nie czytał, albo czytając nie wiedział, do czego służyć mogą.

Nie pozostało też bez wpływu to ciągle nawoływanie do reformy. Wzięto się energiczniej do wprowadzenia w życie prawa przepisującego, aby wszelkie obrony, gwoli zapobieżeniu uszczypliwym docinkom i gadatliwości rozwlekłej, składane były sądowi na piśmie, przy czym jednak dozwolono ustnie wyjaśniać sprawę w granicach piśmiennej obrony.

Środek ten był, jak na owe czasy, do tyła skuteczny, że jak świadczy Rulikowski, zmusił starszych palestrantów do ustąpienia z pola. Miejsce ich zajęli bardziej „ugrzeczniczeni” mówcy, a gdy wprowadzenie spraw musiało się odbywać według ścisłej instrukcji, przeto rozwlekłe owe i uszczypliwe gadaniny raz na zawsze ustały.

Ze swej strony i wpływy moralne bardzo korzystny sprowadziły w palestrze przewrót. Podczas nabożeństw niedzielnych, gdy palestra i deputaci gromadzili się w kościele, ksiądz ordynariusz trybunalski na kazaniach karccił i niemal że palcem wytykał wszelkie zdrożności palestrantów, a była – utrzymuje, przytaczając ów fakt, Koźmian – taka pokora i religijna groza, że się nikt o takie admonicje ad personam stosowane nie urażał.

Istotnie, obraz palestry z końca XVIII w. pozostawiony nam przez naoczego jej widza, Ochockiego, bardzo korzystnie przeciwstawia się temu, jaki nam Kito-wicz, z epoki Sasów odmalował.

Juryści lubelscy popisywali się skromną i treściwą wymową, starali się o czystość polszczyzny, unikając makaronizmów, które dziwactwami mowę ich poprzedników kaziły. Wymowa sądowa ówczesna była niewymuszona, wzniosła i przekonująca, niekiedy nawet ostra, a dowcipna zwykle.

Spomiędzy ówczesnych mecenasów odznaczali się szczególnie piękniejszą wymową: Grzymała, Puchała, Jan i Franciszek Grabowscy, Tadeusz Skarżyński, Raczyński, Grudziński, dwóch braci Dmochowskich, Matusewicz, Kański, Buczyński, Orchowski, Podchorodeński.

Wszyscy mówili zwykle z pamięci, a dobór wyrazów, styl, logika, rozwinięcie przedmiotu, wnioskowanie i konkluzja taką wzorową odznaczały się dokładnością, że nieinteresowani nawet gromadzili się w Trybunale, aby przysłuchiwać się obronom tych znakomitych mówców.

Dalsze losy palestry polskiej nie wchodzą w szczupłe ramy niniejszego szkicu.

Wspaniała obraz rozkwitu i odrodzenia wymowy sądowej przedstawiają nam czasy Księstwa Warszawskiego i późniejsze, gdy wskrzeszona przez ustanowienie Uniwersytetu Królewskiego nauka prawa wydawać pocięła poważny zastęp uczonych i wymownych obrońców, którzy przodując przez długie lata przykładem i wzorem charakteru, talentu i wartości moralnej, pozostawili młodszemu pokoleniom wspomnienie lepszych czasów i zachętę do naśladowania poprzedników na długie jeszcze lata.

Z powyższego pobieżnego zarysu starodawnej palestry można wyprowadzić ten wniosek, że wszystkie zarzuty, jakie czyniono tej instytucji w przeszłości, można by z równą zasadnością zastosować do każdej adwokatury bez względu na czas i miejsce jej bytowania (...).



FELIETON PRAWNICZY

Halina Piekarska
advokat

Substytut – postrach klientów

Piękna to rzecz pomóc przyjacielowi. Stanąć w potrzebie i zastąpić na sprawie. Niezawodnie, jest to przejaw solidarności, instynkt czy też – jak mówią niektórzy – odruch warunkowy, tak silny przy tym, jak głód lub lęk przed cierpieniami. Nie jest prawdą, że adwokat adwokatowi wilkiem. Zawsze sobie chętnie pomogą nawzajem, zwłaszcza na warunkach odpłatności. Ale nie wypada zaczynać od spraw finansowych. Ważne jest zagadnienie samo przez się. O wynagrodzeniu substytuta pomówimy na końcu.

Otóż choć *dulce et decorum est* występować w roli substytuta, można i w tej wspaniałej instytucji dopatrzeć się ciemnych stron, jeśli się spojrzy pod podszewkę lub dokładniej – przez mikroskop.

Substytut to błogosławieństwo dla adwokata, ale postrach dla klienta! Klienci zawsze się przecież boją o los swej sprawy i niechętnym okiem patrzą na wszelkie objawy zawodowej solidarności czy zażyłości. Szczególnie z przeciwnikiem. Chcieliby, żeby przeciwnicy na sprawie byli „wrogami” względem siebie również w życiu codziennym. Nie rozumieją, że można toczyć zacięte spory na rozprawie, a potem w zgodzie pójść na kawę.

Kient długo się zastanawia nad tym, w czyje ręce powierzyć swoje troski. Idzie do kogoś, komu ufa, komu wierzy, o kim słyszał wiele komplementów. Ale gdy nadejdzie „dzień sądu”, to zamiast swego wybranego widzi jakiegoś nie znanego sobie adwokata, widzi substytuta po raz pierwszy. Nie wita go, oczywiście, radośnie. Nastawia się krytycznie do substytuta, chociażby reprezentował wyższą klasę niż sam pełnomocnik. Dopatruje się w nim wszelkich przywar: a to sprawy nie zna, a to mało mówi, to się spóźnia, sprawę odracza itp. Nawet w razie wygrania jest nadąsany, a jeśli sprawę przegra, rozmawia ze swym pełnomocnikiem przy drzwiach zamkniętych. Najdelikatniejszy nawet klient zaczyna od subtelnej wymówki: „Gdyby to pan mecenas stawał osobiście (...)”. Chociaż głaszcze mile ambicję, daleki jest jednak od zadowolenia. Oczywiście „pan mecenas” tłumaczy się fatalnym zbiegiem terminów.

Istotnie, po pustym tygodniu można mieć niekiedy w terminarzu jednego dnia aż pięć terminów. I na to nie ma sposobu. Tylko że, niestety, substytuta szuka się najczęściej tego samego dnia, na kilka minut przed rozprawą. Zresztą zawsze można znaleźć chętnych.

Adwokaturę można podzielić na substytutów i substytuujących. Podział ten nie jest tak idealny jak podawany w podręcznikach logiki podział na artylerzystów

i nieartylerzystów. Są koledzy, którzy występują w podwójnym charakterze, gdyż wyjątkowo zastępują niekiedy bezpłatnie. Stosują się oni do przedwojennego *savoir vivre*’u, który nie dopuszczał w zasadzie substytucji płatnej. Ale mówić chcę o takich, którzy mając niewielką praktykę, są właściwie zawodowymi substytutami. Są wśród nich koledzy, którzy ustosunkowują się do sprawy tak jak do własnej. Są to perły, ideały. Notują akty, przygotowują się do sprawy poważnie. Ale większość – można to sobie powiedzieć szczerze – dąży do odroczenia, „spławienia” sprawy i „wymigania się” od obowiązku.

Substytucji są też czasami ofiarami „wyzysku”. Gospodarz sprawy spija miody honorariów i zaszczytów po wygraniu sprawy. Substytut występuje często anonimowo, klient nie zna nawet jego nazwiska. Płatny jest od stójki w granicach 50–100 złotych, codziennie zastępuje kogo innego, rzadko ma czas na pogłębienie wiedzy i przygotowanie sprawy. Staje się maszyną. Nie zadowolnia ani swego kontrahenta, ani klienta.

Ale czy przeciętny adwokat może obiecać i zagwarantować klientowi swoje osobiste stawiennictwo na sprawie, skoro nie zna przecież terminu rozprawy i skoro spotyka się z żądaniem kilku osób na raz, aby wszędzie, jednocześnie o tej samej godzinie o biście stawał? Nie, takiej możliwości nikt z nas nie ma. Korzystać więc musimy z tej często zbawczej instytucji, chociaż nastrocza ona tak wiele trudności w praktyce. Szczególnie w razie niezadowolnienia klienta z substytucją.

Nie uregulowany jest również problem ewentualnych pretensji wskutek nieuprzedzenia klienta o zastępstwie. Wydaje się, że zawiadomienie go na parę dni przez rozprawą i bardziej dokładne wprowadzenie substytucji w zagadnienia prawne i faktyczne procesu wpłynęłoby dodatnio na rozjaśnienie atmosfery i zlikwidowanie spięć. Sprawa to niewątpliwie trudna. Tak samo zresztą jak i nasz zawód, w którym wedle słów b. dziekana Chełmońskiego „granice między wykonywaniem adwokatury jako posłannictwa obrony prawa z jednej strony, a jako najmu usług w kierunku li tylko obrony interesów poszczególnych osób z drugiej, kreśli wyłącznie sumienie adwokata¹.”



Orzecznictwo Wyższej Komisji Dyscyplinarnej

Orzeczenie

z dnia 10 stycznia 1959 r.

(W.K.D. 107/58)

Udzielenie błędnej opinii prawnej przez adwokata stanowi naruszenie obowiązków zawodowych i jest podstawą do pociągnięcia go do odpowiedzialności dyscyplinarnej na mocy art. 82 ust. 1 ustawy o ustroju adwokatury (w brzmieniu ogłoszonym w Dz.U. z 1957 r. Nr 13, poz. 74), jeżeli jest ono następstwem braku staranności lub też rażącej nieznamomości obowiązujących przepisów.

¹ Por.: „Palestra” nr 7/8 z 1938 r., str. 680.